

Sierpień był upalny, wyjątkowo tego roku. Po ciepłym i mokrym lipcu pola obfitowały w zboża, a każde źdźbło ugięło się od pełnych kłosów. Malowniczo kołysały się one w rytm delikatnych podmuchów wietrzyku, szalejącego wśród drzew, gospodarstw i po łąkach, a wszystko to miało miejsce na tle niebieskiego nieba utkanego nielicznymi, kłębiastymi chmurami. Powietrze nagrzane niemiłosiernym słońcem, palącym już od wczesnych godzin dnia, aż do godziny jego zajścia za widnokrąg falowało między tymi łanami zbóż, a błękitem zawieszonym ponad ludzkimi głowami. Oni zaś chodzili trochę zmęczeni, trochę senni pogodą, ale szczęśliwi, radując się obfitością nadchodzących zbiorów, jak i słonecznymi promieniami, które grzały ich ciała i twarze.

- Przydałoby się nazbierać kwiatów trochę, bo te w wazonie całkiem już powiędły. Pójdiesz córuś do ogródka, ja tu uprzątnę i wazon przygotuję?

- Dobrze mam, pójdę.

Starsza z kobiet wzięła wazon, aby go obmyć z wierzchu i napełnić świeżą wodą, gdy tymczasem jej córka poszła do ogródka po kwiatki, które tam rosły, a które nadawałyby się do przystrojenia wazonu.

W ogródku tym, znajdującym się z tyłu domu, a przylegającym do drogi wiodącej przez wieś, rosły przepiękne, wysokie malwy opierające się o ściany domu, gęste georginie posadzone wzdłuż płotu, a pośrodku znajdowały się rabatki niskich, przeróżnych, wielobarwnych kwiatusków, w rogu płotu zaś rósł dumnie bez. Pomimo palącego słońca ogród utrzymany był należycie. Nie dojrzał byś tam przysuszonego listeczka, ni oklapłych kwiatów. Przesycony był pełnymi, żywymi barwami, soczystymi liśćmi i łodygami. Młoda kobieta uklękła wśród niskich kwiatków, żeby zerwać te najładniejsze i stworzyć z nich piękny bukiet, różnokolorowy i radosny.

Chmura leniwie przesunęła się po niebie i przysłoniła na chwilę słońce. Dmuchał mocniej wiatr, jakby był tym, co nagnał ten obłok. Kobieta poczuła lekki chłód, który wzdrygnął jej ciałem i nie było by w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że słońce na nowo zajaśniało i liście drzew trwały nieruchomo, a ciarki dalej jej towarzyszyły. Tyle, że ona nic sobie z tego nie robiła i dalej wybierała kwiaty z rabatki. Wobec ostrza sekatora poddawały się łodyżki rudbekii, astrów, chabrow, bławatków i goździków.

W pewnej jednak chwili odczuła niepokój, zaczął jej przeszkadzać ten towarzyszący dreszcz. Wstała, żeby wyprostować się - „może to pomoże”, pomyślała - obciągnęła bluzeczkę i otrzepała kolana. Poczuła na sobie czyjeś spojrzenie. Uniosła wzrok i ujrzała mężczyznę opartego dłońmi o płot, który bacznie jej się przyglądał, trochę bezczelnie, ale z widocznym zakłopotaniem, a przynajmniej teraz, kiedy i ona na niego patrzyła. Był dziwnie ubrany, chociaż nie odbiegał jego ubiór od tych, które zwykło widzieć się na wsi, ale nie pasował mimo to do twarzy, twarzy młodzieńca; trochę staromodny, ale szykowny i na swój sposób elegancki, jednak dziwny.

- Dzień dobry, proszę wybaczyć, że przeszkadzam - przemówił wreszcie - Proszę też przebaczyć, że tak się przyglądam panu...ale chcę o coś zapytać...

- Chętnie panu pomogę.

- Dziękuję...widzi pani dawno mnie nie było i tak jakoś dziwnie... - mówił wyraźnie zakłopotany.

- Proszę śmiało, pan się nie krępuje - zachęciła dziewczyna

- Ach...łatwo mówić...proszę wybaczyć...ale nigdy pani nie widziałem wcześniej...w tych stronach...a ja stąd pochodzę...i tak wyszło dziwnie...bo się przypatrywałem...proszę przebaczyć...

- Naprawdę nic się nie stało, nie potrzebnie się pan tłumaczy. Ale mówi pan, że stąd pochodzi, a ja pana też pierwszy raz widzę i nie pamiętam nikogo o pańskim wyglądzie na wsi, żebym widziała.

- A no właśnie dziwne, żeśmy dotąd się nie spotkali...ale nie było mnie trochę u domu i może dlatego...widzi pani błąkałem się trochę po świecie, żeby tu trafić...ale nie jestem nijakim powsinogą, czy włóczęgą...nie tak...po prostu trudna droga do domu...i tam strasznie...nie chciałem wracać...a bałem się żeby nie złapali i nie ukarali...rozumie pani?

- Tak, naturalne - odparła kobieta, już lekko zaniepokojona tym człowiekiem i całą sytuacją. - „Jezus, Maria to jakiś bandzior, z więzienia mówi, że uciekł, czy co?“, pomyślała - słucham pana - dodała głośno - Bo ja o tu mieszkalem...ten domek - wskazał dom przez drogę po sąsiedzku, lekko zaniedbany - i tak właśnie pytać się chcę...bo kto tu mieszka?...byłem i ludzi tych nie znam...pierwszy raz ich widzę...jak i panią...proszę ponownie wybaczyć (pokręciła głową, że się nie gniewa)...kąty jakby te co pamiętam, ale jednak inne tam wszystko. Znaczy nie rozmawiałem z nimi, bo jakoś tak dziwno...pani widzę w ogródku, myślę zapytam...kto są oni?

- To sąsiedzi nasi, Cichowscy. Mieszkają tu odkąd pamiętam. Może pan pomylił się i nie o ten dom chodzi?

- Nie, nie sędzę - odparł posępnie zamyślony - Cichowscy? Nie słyszałem nigdy...a dawno oni już tu mieszkają?

- Z tego co pamiętam, mama mi opowiadała, to zaraz po wojnie się sprowadzili i zamieszkali tu w tej okolicy.

- Po wojnie, hmm - milczał chwilę - ciekawe...ale pójdę już, tak gorąco dziś, a pani zajęta...dziękuję...przepraszam i do widzenia pani.

- Do widzenia panu.

I młody mężczyzna odszedł, równie szybko i cicho, jak się pojawił. „Dziwny człowiek“, pomyślała, ale skoro ustało niepokojące przedtem zimno, co mimochodem zauważyła, dziewczyna wzięła się z powrotem do zbierania kwiatów. Już w niespełna dziesięć minut powstał całkiem przyzwoity bukiet. Zadowolona ze swojej pracy wróciła do domu, gdzie czekał na efekt tejże przygotowany przez matkę wazon.

- Już jestem! - zawołała od progu dziewczyna - Zobacz mamus jakie śliczne zerwałam. Postoją z tydzień.

- ułożyła w wazonie bukiet, poprawiła jeszcze kilka niesfornych kwiatów - Pięknie teraz wygląda! A jaki zapach! Nie ma to jak świeże kwiaty! - mówiła ucieszona, najwyraźniej dumna ze swojej pracy.

Dzień leniwie i ospale zaczął ciągnąć się ku końcowi. Słońce uparcie zniżało się ku ziemi, gdzieś na dalekim zachodzie, z każdą minutą coraz większe i nabierające czerwonej barwy swojej tarczy. Tam też zgromadziły się stalowe obłoczki, a od każdego odbijał się blask gasnącego słońca. Cienie kładły się dłuższe i dumniejsze po ziemi. Wieczorny chłód ukoił ją po całym mozolnym dniu i słysząc było jej wdzięczność w szumie traw, krzykach poukrywanego ptactwa, cykaniu świerszczy polnych i kumkaniu żab, gdzieś na pobliskich stawach. Powietrze pełne leciutkiego zefirku przecinało porykiwanie krów pędzonych z pastwisk oraz szczekanie psów teraz ożywionych po dniu wylegiwania się pod drzewami, w cieniach.

Dwie kobiety usiadły pod domem, rozkoszując się ciepłym wieczorem i wpatrując w ognistą kulę, niemal już stykającą się z ziemią, gdzieś na dalekim zachodzie. Niebawem dołączył do nich mężczyzna, starszy już, krępej budowy, ale pełen wigoru i o szybkich zdecydowanych ruchach. Był on ojcem jasnowłosej, szczupłej, młodej dziewczyny, która tego popołudnia zbierała kwiaty dla swej matki, drobnej kobietki o lekko już siwych włosach i rumianej cerze.

- O Cichowski, dopiero krowy zagnał - zagadnął mężczyzna

- No widzisz, a my już oporządziłszy stworzenie i możemy posiedzieć sobie, odpocząć na werandzie. Co za piekielny dzień dzisiaj, uff...- odpowiedziała żwawo starsza kobieta

- Mamo? - nieśmiało zaczęła córka - a ci Cichowscy, to skąd oni się wzięli tu u nas po sąsiedzku? Mówiłaś kiedyś, że zaraz po wojnie, tak?

- Ano tak - odpowiedziała - chałupa im się spaliła dwie wsie stąd, to się tak szwędali, aż zaszli tu pod strzechy i się zadomowili i tak mieszkają. Pamiętam starego Cichowskiego, wasy miał takie sumiaste i czarne jak smoła, a jego żona to taka wesoła była kobiecina i pocziwa... a czemu pytasz?

- A bo dziś jak zbierałam kwiaty, to jakiś chłop mnie zaczął i wypytywał o nich i ten dom, co mieszkają w nim.

- Jaki chłop? Kiedy? Kwiaty jak zbierałaś do wazonu?
- No przecież! Dobre dziesięć minut z nim mówiłam. Taki dziwnie ubrany był i właśnie o nich wypytywał.
- Oj córuś coś musiałaś pomieszać; Patrzałam jak wychodziłaś na ogród i stałam w oknie, obserwowałam jak wybierałaś kwiaty...
- Stał przecież koło bzu oparty o płot, musiałaś go widzieć!
- Nikogo nie było! Kuciałaś w rabatkach, a potem stałaś i układałaś w dłoni bukiet i znowu ukucnęłaś, dozbierałaś i wróciłaś, patrzałam przecie bo wazon umyłam nim jeszcze wyszłaś to stałam i wyglądałam przez okno; nikogo nie było, musiałaś pomieszać coś!...
- No gadałam przecież z gościem, mówił, że tu wrócił skądś tam, bo tu mieszkał, ale mu się dziwne wydawało wszystko, bo w ogóle mówił, że mieszkał tam gdzie Cichowscy, ale ich nie poznawał i mówił, że pierwszy raz takie nazwisko słyszy...
- Dziwne bo ja przecież nikogo nie widziałam powtarzam ci córeczko.
- A ja ci mówię, że był człowiek, sama do siebie gadałam? - zapytała z ironią - Może się zamyśliłaś i nie widziałaś tego momentu?
- A tam, co będziesz mi opowiadać! Aż taka stara nie jestem!
- To ja nie wiem, z duchem gadałam! Był facet, stał i rozmawiałam z nim i już!
- Dobrze, jak tam sobie uważasz, ja nikogo nie widziałam!

Czerwona kula zatoczyła się za widnokrąg i zniknęła za drzewami, wśród pól, tonąc w zbożach. Zapadła noc. Jak każda tego lata ciepła i duszna. Młoda kobieta leżała w swoim łóżku i zastanawiała się nad tym dziwnym człowiekiem, który przecież był, rozmawiał z nią, a niewidoczny okazał się dla matki. Ale cóż, przecież nie mogła go wymyślić, a matka musiała to przeoczyć, zajęła się czymś w domu i zapomniała o tym, bo jak inaczej, to wyjaśnić? I wśród podobnych rozmyślań usnęła nie wiedząc nawet, kiedy.

Następny dzień obudził się podobny do poprzedniego: bezchmurny, z jasnożółtym słońcem, jeszcze nieśmiało wznoszącym się od wschodu, z pomrukiwaniem krów zmierzających na pastwiska, wesołym gdakaniem kur i pianiem kogutów, witających nowy dzień.

Dziewczyna wstała wcześniej jak codziennie, zjadła śniadanie z rodzicami i postanowiła kręcić się wokół domu cały czas, a nóż znowu pojawi się ten mężczyzna i będzie mogła udowodnić, że go widziała i porozmawia z nim, udowadniając, że żadnym duchem nie jest. Ale ten nie pojawił się.

I nie pojawił się też następnego dnia, ani nawet kolejnego i jeszcze następnego. Młoda kobieta uznała, że nie ma w takim razie co go wypatrywać, bo i tak nic to nie da. Swoje wiedziała i nie miała już zamiaru nikomu nic udowadniać. Poza tym czas zacierał powoli tamto krótkie zdarzenie. W natłoku zajęć gospodarczych i przygotowań do nieuchronnie zbliżających się żniw, przestawała o tym myśleć.

Pałące słońce wysuszyło łąki, pastwiska i lasy. Po horyzont rozciągały się połacie pożółkłych traw i styranych brakiem deszczu drzew. Suche jak, pieprz okazywały się również drogi. Piaszczyste, wijące się po wsiach unosiły tumany kurzu, unoszące się wysoko, podłapywane przez niesforne powiewy niemrawego wietrzyku. Stawałaś nogą i tuman unosił się, odrywałeś ją od podłoża i za nią wędrował kolejny i tak w nieskończoność, aż chyba już zmęczony tym, schodziłeś na pobocze drogi, gdzie ostało się trochę zieleni, która powstrzymywała małe drobinki piasku przed lotem.

Szła szybkim krokiem, jak gdyby chciała uciec przed wszędobyłskim piachem. W pewnym momencie skręciła i udała się dróżką przez łąkę. Pod stopami szeleściła i trzaskała jej przesuszona trawa i inne rośliny, które poddały już swoje życie. Szła chwytając w dłonie wyrosnięte żdźbła traw i zrywając ich nasiona, które unosiły się wypuszczone z dłoni i rozsiewały nieopodal miejsca, gdzie uprzednio wyrastały. Szła zwawo i szybko, unosząc co i raz głowę, wystawiając ją na mocniejsze powiewy wietrzyku, tak kojącego jej oblicze, a przy tym rozkoszowała się zapachami łąki, które otaczały ją zewsząd.

I kiedy tak spacerowała, w pewnym momencie, przed sobą ujrzała czyjąś postać. Nie potrafiła jednak pod

słońce zgaśnięć, kto to, ale nie przejmowała się zbytnio. Dopiero, kiedy nieznajomy wszedł w cienie padające pośród starych jabłonek i gruszy, rozpoznała, że ma na sobie szerokie spodnie i marynarkę, włosy zaczesane mocno do tyłu. To był on. Ten sam człowiek, który pytał ją kilka dni wcześniej o sąsiedni dom. Szedł w tak upalny dzień dosyć grubo ubrany, ale i wtedy przecież tak samo wyglądał, co dopiero teraz sobie uświadomiła. Na plecach dźwigał stary, duży plecak, przewieszony przez jedno ramię, który co chwila podciągał, aby mu się nie osunął.

Krzyknęła do niego. Odwrócił głowę w jej stronę. Chyba ją poznał, bo uśmiechnął się. Chciał pomachać, ale plecak ześlizgnął mu się. Uradowana tym spotkaniem ruszyła w stronę znajomego nieznajomego. Jednak o dziwo, stwierdziła, że on wcale nie czeka na nią, ale cały czas idzie w swoim kierunku. Ponownie krzyknęła, ponownie się odwrócił, uśmiechnął, chciał pomachać, ale plecak i tym razem osunął się na ziemię. Ponownie też nie przystanął i nie poczekał. Szedł dalej zamyślony, ale uśmiechnięty w kierunku lasu. Przyspieszyła kroku. Już była blisko drzew owocowych, widziała jak on dalej szedł uparcie, już coraz bliżej brzeziny. Zawołała. Nie obejrzał się tym razem. Szła dalej, minęła już ostatnią gruszę. Potknęła się o gruby, wystający korzeń drzewa, zachwiała się ale nie upadła. Podbiegła kawałek do smukłych brzoź i znalazła się już w obrębie ich zagajnika. Spojrzała przed siebie, rozejrzała się w koło i stanęła jak wryta.

Jeszcze przed chwilą, jeszcze przed sekundą widziała go pośród drzew, a teraz nigdzie nie mogła go dojrzeć. Za drzewami nie mógł się skryć, za rzadko rosły, aby go nie dostrzegła. Nie puścił się też pędem w gęsty las i tam się skrył, bo to przecież nie mały kawałek i widziałaby go uciekającego, lawirującego wśród brzoź. Zawołała jeszcze ponownie. Poruszyły się gwałtownie zarośla bzu czarnego, spojrzała w ich stronę. Wyskoczył z nich jednak lis, który spłoszony nadejściem intruzki i hałasem, jaki poczyniła pośpiesznie pobiegł gdzieś szukać bezpieczniejszego miejsca. Pochodziła po zagajniku długi czas, szukając choćby najmniejszego śladu, ale nic, jak kamień w wodę, zniknął, przepadł. Zdezorientowana, zasmucona i lekko przerażona udała się w drogę powrotną. Przyjemny spacer stracił urok, nie już jej nie cieszyło.

- Co ty taka markotna dziś wnusiu? - spytała stara kobieta, niska, lekko przygarbiona, o mocno pomarszczonej twarzy

- Ach babciu - odparła - ostatnio jakieś dziwne rzeczy mi się zdarzają. Mówię ci, bo pewnie nie będziesz się śmiała... kilka dni temu widziałam pewnego mężczyznę, rozmawialiśmy chwilę. Dziwny był trochę, ale co tam... a w tej chwili, kiedy z nim mówiłam, mama wyglądała przez okno i ona go nie widziała.

- To, co duch jakiś?

- Nie wiem babciu! Bo przecież mówiłam z nim i widziałam, a mama nie. A potem jeszcze widziałam go, ale zniknął mi jak by się rozmył w powietrzu. Nie wiem babciu, ale chyba wariuję.

- Jak ten człowiek wyglądał?

- Młody, piegi miał na twarzy, włosy zaczesane do tyłu i przygładzone. Ale ciuchy to miał dziwne dopiero: marynarkę i spodnie ze dwa razy za duże na niego.

- Nie wiem wnusiu, bo nikogo takiego nie widziałam, a skoro cudak taki, to w oczy musiałby wpaść, prawda? - zaczęła się śmiać.

Zaraziła tym swoim śmiechem i wnuczkę, zresztą jak zawsze. Przy starej, kochanej babci czuła się zawsze dobrze. Jej serdeczne usposobienie do wszystkiego i ten śmiech, tak łagodny, ciepły i przyjemny działały na nią niezwykle kojąco. Tylko w tym starym drewnianym domku swojej babci zawsze odnajdywała spokój.

Zaczął świstać czajnik postawiony jakiś czas temu na kuchence.

- Ja wezmę babciu! Poczekać zaraz zrobię herbaty.

- Dziękuję Ci dziecko. Nie będę fatygować starych kości - jednak po niecałej chwili dodała: ale co tam w kredensie mam ciasteczka, po nie mogę się styrać! Młody, stary, a łasy człowiek na słodkości, co to jest u licha w nich? - i znowu zaczęła się śmiać

- Nie wiem babciu. Proszę twoja herbata!

- To jeszcze, żeby dopełnić tę rozkosz, podaj cukru, bo zapomniałam wziąć z kredensu i skleroza patrz dopada, tam na górnej półce za drzwiczkami, zresztą wiesz!

- Tak babciu.

Sięgnęła starą, szklaną, piękną cukiernicę wypełnioną cukrem i ruszyła z nią w kierunku stołu, za którym czekała staruszka. Nagle przeszedł ją dziwny dreszcz. Zobaczyła coś kontem oka, ale nie wiedziała dokładnie, co to było, a jednak musiało coś ważnego. I zaczęła się nerwowo oglądać po babcinej kuchni. Może za oknem ktoś, lub coś przemknęło, ale nie to nie to. Kuchnia? Nie też nie, czajnik odstawiony, grzecznie sobie stoi. Telewizor wyłączony. Wszystko jest na swoim miejscu. Co też to mogło być.

- No co ty się tak rozglądasz moje dziecko? Tu przecież jestem i na cukier czekam, nie każ staruszcze dłużej czekać. Ja już nie mam tyle czasu, coraz mniej mi go zostało, to i bardziej się niecierpliwie.

- A babcia znowu swoje głupoty o umieraniu - ruszyła w kierunku staruszki, zostawiając poszukiwania swojego przywidzenia

- Jakie głupoty? poważne rzeczy, życie wieczne... oj wnusiu przecie śmierć każdego dostanie, nikt nie uniknie tego uroczystego spotkania - mówiła kpiąco - Więc co innego nam pozostaje jak trochę pożartować sobie z niej. Jak po mnie przylezie, to i sobie pierwszej pośmiejemy się, ona ze mnie, a ja z niej, a razem my z tego świata - po czym zaczęła się znowu śmiać.

- Niemożliwa jesteś babciu - mówiła przez śmiech - niepoprawna.

- Jak się wojnę przeżyło, to i śmierć w spokoju, teraz niestraszna moje dziecko. Śmierć to jedyny wróg, którego nikt, nigdy nie pokona, więc pozostaje nam jedynie wykpić ją i śmiać się z niej. Tak zawsze mawiał mój ojciec.

I zwróciła wzrok w stronę lustra, pod którym, na stoliku stały w ramki oprawione różne fotografie, a pośród nich stara, w kolorze sepii, z podobizną jej ojca. Wnuczka podążyła swoim wzrokiem w ślad za babcią. Utkwiła swoje stalowoszare oczy na tym zdjęciu i nagle poczuła, potwornie zimny pot na swoich plecach. To było, to. Tak, tę fotografię kątem oka dostrzegła i to ona ją zaniepokoiła. Teraz to doskonale widziała i rozumiała, ale jak mogła wcześniej nie skojarzyć, przecież to takie oczywiste teraz się wydaje.

A na fotografii stało dwóch, młodych mężczyzn opartych łokciami o płot, pod jakimś drzewem, którego gałęzie zwisały ponad ich głowami. Obaj ubrani odświętnie, w ładnie skrojone garnitury. Obaj uśmiechali się serdecznie i odrobinę szelmowsko. Sympatyczny wyraz ich oczu dopełniał przyjemność oglądania tego zdjęcia.

Zostało ono zrobione wiele lat temu, pod tym domkiem, w którym obie panie piły teraz herbatę, w ogródku, przylegającym do niego. Mężczyzną z lewej strony był wspomniany ojciec babci, przystojny, wysoki, szczupły, o ciemnych, gęstych włosach i pełnej twarzy. Pradziadek, którego młoda kobieta tak dobrze знаła, bo przecież nie raz oglądała to zdjęcie u swojej babci, a ta nie raz o nim opowiadała. Ale ten mężczyzna obok, trochę niższy, również szczupły, z zaczesanymi, przygładzonymi włosami, o pociągłej twarzy, usianej drobnymi piegami, kim był? Kolega, kolega pradiadka. Tak, tak zawsze babcia mówiła. Byli dobrymi kolegami. Co jeszcze mogła sobie o nim przypomnieć z dawnych opowieści? Nic zupełnie, ogromna pustka zapanowała w jej głowie. Ale na pewno nieraz o nim słyszała, musiała słyszeć. „Najlepsi koledzy” kołatało jej się teraz w głowie bez ustanku.

- Babciu kochana! Kim jest ten człowiek obok pradiadka? - powiedziała podnieconym, lekko drżącym głosem, nie odrywając wzroku od fotografii

- A tobie co wnusiu? Toż to Antek, najlepszy kolega ojca.

- Babciu kochana! To jest ten mężczyzna, albo bardzo podobny do tego, którego wtedy widziałam, a mama nie...

- Antek? - zapytała zamyślona - Przyszedł?

Słońce stało w zenicie. Niemrawe cienie, rzucane przez rozłożysty dąb rosnący nieopodal domu, drgały i falowały w rytm wiatru, który igrał z wysoko zawieszonymi liśćmi drzewa. Rozgrzane podwórko tonęło

w ciszy i spokoju. Psy leżały leniwie w cieniu krzewu akacji, a bure kocury niezrażone upałem wylegiwały się na rozgrzanym dachu werandy. Pobliska rzeczka szemrała resztą wody, jaka w jej biegu pozostała, niewzruszona na palące słońce, które wysuszało wszystko, co tylko możliwe. Gdzieś w oddali buczały kombajny, które wyruszyły na pola.

Antek był najbliższym przyjacielem ojca starszej kobiety, a pradiadka młodej dziewczyny. Obaj nierozłączni - w pracy, w chwilach wolnych, kiedy przyszło do bójki, na zabawach i o każdej godzinie i minucie. Jeden bez drugiego obyć się nie potrafił. Taka przyjaźń, co to niemal się nie zdarza. Mieszkali po sąsiedzku, jeden w domu z pięknym teraz ogródkiem, drugi w tym obecnie lekko zaniedbanym, gdzie Cichowscy się sprowadzili. Byli młodzi, pełni życia, marzeń, pragnień, nadziei, z wrodzonym sobie zawadiackim humorem i sposobem bycia raźnie patrzyli w przyszłość i nie troszczyli się zbyt o dzień następny.

Tak też i któregoś dnia zrobiono im zdjęcie, opartych o płot, dwóch eleganckich, nierozłącznych, zadziornych chłopców. Fotografię zrobiono dosłownie na chwilę przed przymusowym wciągnięciem ich w szeregi rosyjskiej armii.

Chociaż przerażające zdarzenie, to nie zrobiło na młodzieńcach okropnego wrażenia. Liczyli na kilka bitew, oczywiście zwycięskich, na przeżycie nowych doświadczeń, późniejsze wspomnienia i świetną zabawę, którą spodziewali się znaleźć. Front rozciągnięty przez całą obecną Polskę w roku 1915 roku nie przyniósł im jednak spodziewanego szczęścia. Walczyli ramię, w ramię, marzli przeraźliwie nocami w okopach, mokli na deszczu, zmagali się z bólem i wycieńczeniem, patrzyli na śmierć, która tańczyła wszędzie wkoło nich. Utrudzeni, zmordowani i ledwo żywi dzielili się każdą kromką chleba, wspierali w trudnych momentach żołnierskiego życia, których to chwil nie brakowało nigdy. Lecz jak zwykle, mimo wszystkim przeciwnościom pozostawali nierozłączni.

Ale są drogi i ścieżki, którymi nikt za nimi nie podąży w danej chwili lub nawet w ogóle. I na jedną z nich wstąpił Antek.

Któregoś dnia żołnierze na rozkaz wyrwali się z okopu. Ruszyli do ataku. W szaleńczym pędzie pokonywali każdą piędź ziemi, aby tylko przełamać linię i dostać się na teren wroga i zająć go. Ramię, przy ramieniu. Bagnet, przy bagnecie. Setka młodych ludzi, głodnych, przerażonych, z bojowym okrzykiem na ustach. Gnali naprzód niestrudzenie, nie zważając na kule, które świszczały tuż nad i obok ich głów. Jak w transie i obłądnie ciągle naprzód z karabinami w dłoniach. Pędzeni strachem, zawziętością i pragnieniem jak najszybszego zwycięstwa nie zwracali uwagi na nic wokół siebie. Biegli, potykali się, upadali, podnosili się wówczas i ruszali w dalszy bieg albo zostawali martwi.

Kiedy już niemieckie okopy były na wyciągnięcie ręki, stało się. Instynktownie jeden z żołnierzy odczuł, że jego kompan już nie biegnie, już nie ma go tuż obok. Odwrócił się. Parę metrów za sobą dojrzał postać przyjaciela leżącego w kałuży błota zmieszanego z krwią. Zatrzymał się. Zawrócił. Podbiegł do niego jak mógł najszybciej. Padł na kolana. Uniósł głowę przyjaciela i ułożył bezwładną na swoich kolanach. Czułe przesunął dłonią po jego czole, odgarniając niesforne włosy. I zajrzał w oczy najbliższego kolegi.

Lecz oczy tamtego, jeszcze niedawno błyszczące, ciepłe i mądre, teraz były martwe. Wpatrzona w dal przed sobą, nieruchome spoglądały na niego, ale on wiedział, że już go nie widzą. I choć szlochał, a przez łzy prosił na wszystkie świętości, aby się do niego odezwał, wiedział, że Antek go nie słyszy i już nigdy nie przemówi do niego. Zginął nagle, w jednej chwili. Jeszcze uśmiech mu pozostał, jeszcze wypieki na twarzy się żarzyły, jeszcze strugi potu kroplami perliły się na jego czole, lecz był już martwy. Sam zapewne nie wiedział o tym, co się stało. Oderwano go od życia, oderwano go od ciała. Śmierć łakoma porwała go nagle, chwyciła w swoje objęcia i pchnęła do świata cieni.

Trwali tak długo w ostatnim, braterskim uścisku, aż póki niemieckie szanse zostały ostatecznie zdobyte, a słońce krwistoczerwone zbliżało się do kresu swojej wędrówki, gdzieś na dalekim zachodzie.

Czerwona kula, wieczny ogień, źródło życia, światła, ciepła, zawieszona na purpurowym niebie kończy swój codzienny cykl na zachodzie. Tonie w morzu horyzontu i rozpala go czerwonym blaskiem, niczym

żywym ogniem. Trawi te odległe krainy swoim żarem. Aż utonie i zabierze jasność, a ciemna noc otula świat swoim mrokiem. Wreszcie ginie. Ginie i przynosi ulgę spieczoną letniej ziemi. Ginie i odbiera ciepło zziębniętej zimowej ziemi. Ginie tam daleko, aby po nocy znowu się narodzić. Ginie tam, gdzie cienie są odbiciem życia, gdzie zaczyna się świat umarłych. Ginie, aby dać nadzieję, że powróci.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

jarusilski, dodano 20.06.2009 10:44

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.